

Kwadratura ziół

1 lutego 2019

Rząd sprzedaje narkotyki drożej niż mafia.

Według rachunków Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC) warszawiacy wypalają prawie 4,4 tony marihuany rocznie. Tymczasem od kilku dni media ekscytują się tym, że do Polski przyjechało z Niemiec 7 kilo wyhodowanej w Kanadzie marihuany leczniczej.

* * *

Ma ona wspomóc 300 tysięcy chorych, którzy – zdaniem lekarzy – kwalifikują się do terapii marihuaną. Wychodzi zatem, że jednego skręta musiałoby wypalić 50 potrzebujących osób. To ledwie pierwsza z bzdur, których jesteśmy świadkami przy wprowadzaniu wymyślonych przez PiS przepisów dopuszczających terapeutyczne stosowanie konopi indyjskich.

Drugą jest opowiadanie, że lecznicza marihuana to zupełnie co innego niż trawka. Niby dlatego, że pojęcie „medyczna marihuana” odnosi się do roślin uprawianych według ustalonych norm, poddanych właściwej kontroli jakości. Wielu pseudofachowców opowiada zatem, że w konopiach medycznych najważniejszym czynnikiem nie jest THC, ale CBD. Obydwa te skróty oznaczają zawarte w marihuanie substancje chemiczne.

THC jest związkiem psychoaktywnym, czyli dającym kopa, potrafiącym sponiewierać. Po medycznemu oznacza to, że wywołuje poczucie głębokiego rozluźnienia, euforię, zmiany percepcji, zwiększenie łaknienia i senność. CBD wręcz przeciwnie. Nie jest substancją psychoaktywną, nie powoduje znaczących efektów ubocznych i jest całkowicie bezpieczna nawet przy długoterminowym używaniu. Ba, jego działanie łagodzi skutki powodowane przez THC – zmniejsza niepokój, działa antypsychotycznie i lekko pobudzająco, zapobiegając poczuciu senności.

Skoro tak, to jak wytłumaczyć, że dopuszczone prawem do polskich aptek zioło ma mieć 19 proc. psychoaktywnego THC oraz mniej niż 1 proc. CBD? Żeby na tak postawione pytanie odpowiedź uniemożliwić, należy się informacja, że w standardowej marihuanie sprzedawanej zarówno u nas, jak i w reszcie europejskich szkół i knajp, jest 17 proc. THC i 2-3 proc. CBD. Jeśli jednak ktoś ma dojdzie do dobrej plantacji, to załapie się na bardziej poniewierające zioło o parametrach polskiej trawy medycznej.

* * *

W ten sposób dotarliśmy do bzdury nr 3. Czyli ceny, która w polskich aptekach ma wynosić 60-65 zł za gram. Żadnej refundacji – rzecz jasna – nie ma. Każdy warszawski gimnazjalista, słysząc to, wybucha śmiechem. U niego w szkole dobre zioło hula bowiem po 5 dych. A jak się robi zakupy na większą imprezkę, to nawet u detalicznego dileru można stargować cenę do 40 zł. Poza Warszawą jest taniej.

W miastach powiatowych gram zioła w detalu hula wciąż po 30 zł.

Wbrew temu, co można przeczytać w internecie, nie ma naukowych dowodów na to, że medyczna marihuana leczy raka. Zmniejsza jednak ból, łagodzi, a nawet eliminuje mdłości i wymioty, obniża poczucie strachu, wywołując apetyt, podnosi masę ciała, no i redukuje liczbę napadów padaczkowych. Podnosi zatem coś, co medycyna nazywa dobrostanem chorego. I dlatego lecznicze zioło jest wskazane przy takich przypadłościach, jak stwardnienie rozsiane, padaczka oporna na leki, przewlekły ból neuropatyczny czy ból nowotworowy. Ale nade wszystko stanowi doskonałe antidotum na nefajne efekty chemioterapii.

Tyle tylko że to samo daje marihuana kupiona u zaufanego dileru. Tańsza. Ma to znaczenie, bo medycy przyjmują, że chory powinien dziennie przyjmować gram suszu. Gdyby kupował go w aptece, to buliłby na zielsko 1800-2000 zł miesięcznie. Jeśli

chory mieszka na prowincji, to za tę samą ilość porównywalnego terapeutycznie towaru zapłaci góra 900 zł.

* * *

Jeśli zatem marihuana w aptece ma pomóc chorym ludziom, to raczej nie pomoże. Aczkolwiek sprzedawać się będzie świetnie. Receptę na nią może wystawić każdy lekarz. I wystawi. Nawet na bóle głowy. Bo każdy drobny diler będzie chciał mieć przy sobie nie plastikowy woreczek z zieleńcem, ale apteczne opakowanie po marihuanie. Takie z 30-gramowym nadrukiem. No i rzecz jasna z paragonem. Mając to wszystko, będzie mógł się policjantom śmiać w twarz. Oryginalne opakowanie i paragon przydadzą się też chorym. Bo gdy odwiedzą ich mundurowi, to zawsze będą mogli powiedzieć, że ich – kupiona u dilera – trawa pochodzi z apteki.

* * *

Apteczna cena z kosmosu wzięła się z bzdury czwartej. Czyli pisowskiej noweli prawa antynarkotykowego. Zapisano tam kilka zasad, które są kwintesencją hipokryzji zmieszanej z kretynizmem. Ustawa zabrania bowiem uprawiania marihuany w Polsce. Mak lekarski służący przemysłowi farmaceutycznemu do produkcji morfiny i jej pochodnych można uprawiać pod pewnymi warunkami, ale trawy nie wolno. Bo nie! I dlatego się ją importuje. A właściwie robi to tylko jedna firma. Nazywa się Spectrum Cannabis i należy do kanadyjskiej grupy kapitałowej Canopy Growth Corp. Spółka kupuje marychę w Kanadzie.

Jak mówią jej polscy prezesi, łatwo nie miała. Bo choć medyczne zioło mogło być dostępne w myśl prawa w polskich aptekach od 1 listopada 2017 r., to wymyślona przez rząd procedura spowodowała, że przez ponad rok przepisy były martwe. Wykombinowano, że zanim „surowiec farmaceutyczny” trafi do sprzedaży w aptekach, musi go zarejestrować Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych. Urząd ma na to 270 dni. I choćby nie

wiem, jak się jego pracownikom nudziło, to nie skróci tego okresu nawet o dzień. Jak gdyby w URPL trwał nieustający strajk włoski. To właśnie procedury rejestracyjne uniemożliwiły kilku innym firmom zafunkcjonowanie na tym rynku. Rynku, który z powodu występowania na nim tylko jednego podmiotu jest rynkiem zmonopolizowanym.

Niemcy swoją ustawę o leczniczej marihuanie robiły wtedy, co my. Tyle że wpisali, iż surowiec mogą pozyskiwać w kraju i za granicą. I od dwóch lat sprzedają zioło w aptekach, z czego od roku swojego chowu.

* * *

Jeśli z jednego krzaka można pozyskać 300 g suszu, to znaczyłoby, że aby pokryć roczne zapotrzebowanie chorych, musielibyśmy uprawiać w formie kontrolowanej przez państwo ledwie 365 tys. roślin. I wtedy ucieszyliby się plantatorzy, radowałby się fiskus i nie byłoby możliwe, żeby gram marihuany kosztował w aptece więcej niż 10 zł. Byłaby zatem szansa, żeby chorzy mieli realny dostęp do leku, który zmniejszy ich cierpienie.

Oczywiście jest i inne, jeszcze lepsze rozwiązanie, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie posądzi żadnej z naszych topowych sił politycznych, że będzie chciała zrobić to, co kiedyś i tak zrobić trzeba będzie. Zalegalizować konopie indyjskie. Likwidując połowę przychodów gangów i dając budżetowi miliardy złotych z akcyzy i VAT-u.

Autorstwo: Tadeusz Jasiński

Źródło: Nie.com.pl